1847. Nr 12. d. 20 Kwietnia. ROK 6.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Treść przedmiotów: Książka pamiątek, znaleziona przez Gabryellę, i czytana przy kominkowym ogniu. (Ciąg dalszy).— Heloiza, Abellard, S. Bernard przez W. — Charakter Podań Rzymskich. p. S. — Stary poemat o Gdańsku, przegląd, przez Prof. J. Bartoszewicza.— Nowości.

STARY POEMAT O GDAŃSKU.

(Dalszy ciąg.)

Teraz zapala się autor na widok dz'ewcząt. Prosi Kalliopy i Wenery, żeby mu pomogły, wysławić wdzięki dziewic pomorskich.

Tot video *Nymphas, Veneres* tot, totque *Camillas*,
Tot *Pasicompsas, Pasitheas, Jolesque, Bonasqne*,
Tot *Thisbas*, tot *Nereidas, Charitesque*, tot *Aeglas*,
Candidulas, Thaumantiadas, Rossasque, Corinnasque,
Hippolitas, *Helenas, Sophias, Roseasque, Rosinas*
Moratas morum gemmas, *Placidasque*, placentes,
Claras praeclaras, *Annasque*; *Probasque* probatas,
Justinas justas, *Salomenas, Euphrosinasque*
Blandas *Blandinas, Christinas*, lucidulasque
Luciolas, Kunegundas, Angelicasque pudicas

Et *Constantiolas*, constantiae honore politas,
Bellas *Barbarulasque*, *Beatricesque* beatas.
Et *Violantillas*, *Marias*, *Penelopasque*,
Ursululasque, *Lucretiolasque*, *Polyxenulasque*,
Spiritus at propè me jam deficit! (str. 39.)

Aż mu ducha zbrakło, tyle tu Wener, Helen, Zofij, Klar pięknych, Justyn sprawiedliwych, Urszulek i t. d. Ile niebo gwiazd ma, tyle Gdańsk pięknych dziewic, bo piękniejszych nad rubiny, szmaragdy, djamenty. Za nic wdzięki Minerwy, Junony, Wenery, złożone razem. Parys Gdańszczankom oddałby jabłko piękności, bo ich twarze, to nie ludzkie. Co za porównanie do Prażanek!

Następuje kilka wierszy brudnych... a potém:

Est *Gedanum Venerum* genitrix, est mater Amorum. (str. 40).

„Jest Gdańsk rodzicielką Wener, jest matką miłości. Tutaj spostrzegam same piękne oczy, różowe usta i miłe twarze, szyje co białością walczą z mlékiem, z czystym śniegiem, a rumieńcem z różą... Czeszki mi się niepodobają. Brzydkie są (sordent omnia nata domi) moje spółziomki,— tutaj to żyć... Weneckie i Angielskie dziewczęta ustąpią Gdańskim, ustąpią i Rzymskie...

Narzeka Wacław, że jest cudzoziemcem na Pomorzu, boby się zaraz ożenił. Któraż dziewica zechce cudzoziemca? A przecież i on znalazł swoję.

Następuje apostrofa do Gdańszczan, żeby się żenili i przestrogi, jakiéj mają szukać towarzyszki życia. Ma być ona:

Non Opulenta nimis, nec inops mendicaque prorsus,
Par Opibus, par et generi, par relligioni,
Nec formosa nimis, nec sit nimis aspera vultu.
Sed medios habeat landati corporis artus,
Nec brevis esto, nec in longos porrecta pedellos,
Crassa minus laevisque placet, nec macra levisque,
Vestibus incedat mundis, et corpore munda,
Nec sit compta nimis, nec cerussata, sed ore

Innato rubeat, nec sordibus inquinet armos,
Conjugis ut servet nulli ridenda decorem,
Nec quis lascivam ducat, Capramque salacem,
Aut nimiùm pudibundam, amplexus atque negantem
Verùm expectantem patienti mente duellum,
Nec nisi prolis amore *Virum* ad bona bella trahentem, (str. 41.)

„Żona ma być niezbyt bogatą, niezbyt ubogą, a owszem równą bogactwami, urodzeniem, wiarą. Niezbyt piękna, nie bardzo też brzydka. Niechaj ma średnią piękność, — niezbyt mała, niezbyt wyciągnięta. Mniej tłusta i lekka podoba się więcéj jak otyła i ciężka. Ma chodzić w czystych sukniach, ma ciało mieć czyste,— niezbyt wystrojona, nieróżowana. Ma naturalnym błyszczéć rumieńcem... Niechaj nikt niebierze żony zabardzo rozpasanéj... albo też zbyt wstydliwéj, coby wzbroniła uścisku... Bezrozumny ten, kto szuka pieniędzy, nie żony. Ślepy kocha żabę, a myśli że żaba Dyjaną."

Coecus amans ranam, ranam putat esse *Dianam*. (str. 42).

Od panien naturalne przejście do młodzieży płci męzkiéj. Znowu dużo o małżeństwach. Pełno z mytologii brudnych obrazów i uwag.

Zatem, pochwała litości i miłosierdzia Gdańszczan.

Zmęczył się autor zwiedzając ulice miasta, kościoły i place. Jeść mu się zachciało i pragnąłby odpoczynku. Wstrzymuje więc Kalliopę w polocie i szuka przytułku w gościnnym grodzie. Zalata go zapach tytuniu i fajki. Porównywając się do psa, co węchem dzika śledzi, wstępuje autor do jakiejś gospody, gdzie zastał tytunio-opojów (słownie Tabaco-bibas).— Widać że bardzo lubił zaciągać się nasz autor, bo pod niebiosa wynosi fajkę. Ciągnąc dymek z cybucha, biédny zapomina o kłopotach i udręczeniach na obcéj ziemi. Spotyka w gospodzie miłe towarzystwo: Włocha, Francuza, Anglika. Ciągną się więc rozmowy, bo znajomość tak łatwa zawsze w szynkowni i przy fajce. Rozprawiają politycy nasi o tém, co porabiają Szwedzi, o rządzie Polskim, o dumnych zamysłach Cesarza, o potędze Hiszpanii, o Papieżu nareszcie. Znać zaraz dyssydentów,— bo mó-

wią tam, że Papież tai prawdę, fałsz rozsiewa, opowiada że widział, czego nigdy nie widział, że zrobił to, czego nigdy nie zrobił. Przy fajce pijatyka zaczyna się. Rozochocił się Wacław: prosi tytuniarzy, żeby go przyjęli do swojego grona i dali pić,— „bo wieszczowi nic nie zostało."

Quando aliud vati nec quicquám restat egenti. (str. 46)

Chce rzucić Helikon dla pijatyki. Woli być *biboszem* jak *poetą* (esse *Epota* volo, nolo esse *Poeta*). I powiada o sobie, jakby zdejmując własny portret:

Tingere crateras melius quám *pingere cartas.*
Pandectis pateras praefert, *Poppisma papyro*,
Dolia quám *folia* scit plus tractare, *patellas*
Pagellis praefert, *catinos* arte *Catonis*
Atque meri *libras libris*, *calamisque culullos*,
Carnem quam *carmen*, *calicem* pro *Codice* mavult. (str. 46).

„Klemens woli wypróżniać kielichy, jak pisać,— nad Pandekta przekłada czasze, woli gwizdanie jak papiér, — przyjemniejsze mu gąsiory jak stronnice; milsze mu miski nad karty, tygle nad sztukę Katona, nad książkę wino,— nad pióra droższe mu kielichy,— woli on mięso jak poezję, roztruchan zamiast kodexu (rękopismu)."

Trudno dokładniéj zdefiniować siebie. O! cóżto za biédny był poeta! W tłomaczeniu naszém niemogliśmy jeszcze wydać téj igraszki wyrazów, jaka w oryginale dowodzi gustu autora...

W pośród dymu fajek i brzęku kielichów, spostrzega Wacław malowidło: na niém trzy kobiéty jakby żywe, kąpią się w przezroczystéj krynicy,— a na ich wdzięki spogląda Akteon. Nasz autor całą tę scenę opisał ze zbytniemi szczegółami,— zdaje się, chciał farb pożyczyć od Owidjusza, bo całą przemianę w jelenia umieszcza w swoim poemacie. Za témi malowidłami były insze,— między innemi i olbrzym Krzysztof dźwigający Chrystusa na barkach. Z tych obrazów każe się uczyć autor. Z tych przykładów brać przykład. Koniec księgi drugiéj.

Księga trzecia zaczyna się prośbą do Feba o pomoc. Nasz poeta odwiédza giełdę Gdańską. Tu go spotyka poważny i siwy starzec. Przypomniał się autorowi Ajax z XIII księgi przemian Owidjusza, bo ten starzec

Sustulit hinc Oculos, expectatoque resolvit
Ora sono, neque abest primis prudentia dictis. (str. 50)

Zupełnie jak Ajax. Pyta się starzec poetę, kto go rodzi, poco przyszedł do Gdańska?— Czy w naukowym celu? I znowu przekręcone wiersze Owidjusza, w tém miejscu kiedy skończył mowę Ajax, a miał swoję rozpocząć Ulysses.

Finierat, varium vulgi quum fortè secutum
Murmur erat, tremulis ego mox tellure moratus,
Ac haerens oculis; *Infelix*, inquio, *pars sum*. (str.50)

„Skończył,— nastąpiło szemranie ludu,— a ja drżącemi oczami powlokłem po ziemi i odezwałem się"... To czysta parodja.

Odpowiada starcowi Wacław, że jest Czechem i wyjawia mu tajemnicę swojego wygnania. Gdańszczanin ofiaruje mu gościnność u siebie w domu i częstuje go *ambrozją, nektarem*. Nie trzeba było długo prosić Czecha. Starzec prowadzi go do domu. Dom to był dostatni, porządny. Wszystko tam błyszczało, świéciło. Na niczém niezbywało w tym domu, na brak tylko synów narzekał starzec.

Sola domum et Patrias servabat Filia sedes
Ore genisque rubens, illibatique pudoris,
Cui facies optanda Viris, nigror acer Ocellis,
Jam matura thoro, jam plenis nubilis annis. (str. 52).

„Jedyna tylko córka pilnowała domu ojczystego. Miała rumianą twarz i usta, a wstyd przeświecał na jéj czole. Była ona przedmiotem westchnień a ładne miała czarne oczy. Dojrzała już dla małżeństwa."

Siadają do stołu we troje: ojciec, córka i nasz wygnaniec czeski. Przy końcu uczty, Czech już po uszy był zakochany, bo jak mówi: „piérwszy to był dzień, kiedy żyłem na prawdę. Co mi królewskie pałace? Niechaj Pallas mieszka w wybudowanych przez siebie dworcach. Mnie miło będzie zestarzéć się w Gdańsku.“

Nasycony, najedzony autor— nagle powziął myśl— opiéwać zalety miasta, które go z taką gościnnością przyjęło. Widzicie,—przy butelce, za stołem, przyszło natchnienie naszemu poecie. I za to też,— jaka ładna poezja!

Pytał się Czech starca o początki miasta. Długo kołując odpowiedział mu gospodarz, że niewiele może wiadomości udzielić o czasach tak odległych, z których żadnych pamiątek historycznych niezostało. A jednak porusza swoją erudycję i patrzcie, co to tam było kiedyś na Pomorzu Gdańskiem. „Miały tutaj niegdyś schronić się szczątki starożytnego ludu ogromnéj siły, a olbrzymiego wzrostu (natae de stirpe Gigantum),— szczątki owych Gigantów, co szturmowali do nieba i Bogom wypowiedzieli wojnę. Z ich pokolenia poszedł naród Wandalów, straszny orężem, zahartowany w marsowéj sztuce, a twardy... Nazywał się ten naród Kaszubami... Wódz tego ludu na czele małego orszaku swoich, położył piérwsze posady miasta na tych pagórkach, co zdaje się wisiéć i zagrażać miastu... Dzikie było spojrzenie wodza i czoło dzikie, a poorane zmarszczkami: usta i oczy tchnęły okrucieństwem. Miał głowę ogromną, a kark miedziany. Broda wisiała mu jak nieczesana grzywa, a przerażał jego wąs kosmaty. Na lewym boku połyskiwał miecz zakrzywiony, a tarcza wyglądała z za ramienia i sajdak strzał pełen. W prawéj ręce trzymał on włócznię, a w lewéj puklerz (parmam) hartowny. Obiedwie umiały rzucać pociski i walczyć w bojach. Włosistym płaszczem się przykrył,— a skóra zdarta z grzbietu dzikiego zwierza przerażała,— tak miał nieludzką postać wódz Kaszubów”... Odwrócił się ku zachodowi słońca i przemówił“... Mowy téj nieprzytoczym, bo jest w niéj Mytologja i Jowisz. Przepowiedział wódz Kaszubów przyszłe znaczenie miasta, które miał założyć i dał znak, a siekiéry wycięły lasy i stanęła osada. Wzrosła ona w niedługim czasie. Niebyło praw,

bo to był wiek złoty osady. Pod otwartem więc niebem zastawiono stoły, a młodzież rozpoczynała tańce. Stąd nazwisko osady,— *vicus chorearum*, czyli po niemiecku słownie *Dantzwick*, *Dantzigk*, wieś tańców, chorowód. Z tego łacińskie *Dantiscum*, *Gedanum*,— polskie *Gdańsk*.

Gdyby nie to nieszczęśliwe wmięszanie Mytologii greckiéj, całą tę powieść naszego autora wzięlibyśmy za narodowe ludowe podanie. Lubo i tak wiele tu jest, żeby zniknęła illuzja. Cały ten opis złotego nieba i piérwszych chwil życia Gdańska, żywcem wzięte z Owidjusza. W dziejach późniejszych osady widzim to samo, co w dziejach świata starożytnego. Cnota wyradza się w zbrodnię. Wiek złoty, przechodzi w srebrny, miedziany, żelazny,— wreszcie *ostatnia Astrea opuszcza ziemię*.

Ultima coelestum terras Astrea reliquit. (str. 57)

Po co to wszystko?

W historji wieku żelaznego widzim upadek wiary, a za to wzrost zawiści i bogactw. Hańbą jest, niebyć bogatym. Na świecie wszystko się zepsuło,— nawet wino pofałszowane (str. 57—8). Pola rodzą zboże i kąkol. Wszystkie miasta złe: jedna tylko Jerozolima dobra, bo tam cierpiał Chrystus. Oto obraz wieku naszego. Dosyć ci na tém, dodaje starzec opowiadający naszemu autorowi dzieje Gdańska. Chcesz wiedzieć o dalszych losach naszego grodu,— o czasach Krzyżackich? szukaj po księgach. Żebym ci ja to wszystko opisał, musiałbym rodzić się w Smyrnie (Homer) albo w Mantui (Wirgili).

Wszystkie te dodatki do obrazu wodza Kaszubów, zawiérają stronnic kilka i przeplatane są wierszami żywcem wziętemi z poetów Rzymskich, n. p.

Sole sub hoc nihil est nihil omni ex parte beatum.
(Horatius II. Ode ad Grosphum).
Sunt alii Numerus, fruges consumere nati. (Hor.)

Teraz gospodarz zapytuje się wygnańca o powody, które go zmusiły do opuszczenia ojczyzny,— bada go o losie Czech.

Dixit,— et intentos vultus ac oratevebat (Virg. Aen.)

Zapłakał zapytany i zaczął powieść jak Eneasz do Dydony.

Hospes, — o infandos cogis renovare labores
Nec scio quid dicam? quae prima exordia ducam?...

I znowu po co to naśladowanie słowne, znanego wszystkim orygінału?

Powieść wygnańca także długa. Zaczyna się przekleństwami na prześladowców, a niezawiera w sobie nic, coby odpowiadało na zapytanie. Wygnaniec przyrównywa Czechy do olbrzymiego dębu, który koroną wysoko wystrzelił do niebios. Ale upadł, bo go ścięła siekiera i wszystko, co żyje rwie szczątki dębu i kłóci się o nie.

Omnibus Arbor
Praeda jacet, magnis quam ornarunt laudibus Omnes. (str. 62)

„Wszystkim teraz zdobyczą drzewo, które wszyscy kiedyś nadzwyczaj chwalili:“ To jakaś przymówka. Miałażby ona stosować się do Polski? do Polski Zygmunta Trzeciego? Ale zdaje się niepodobieństwo przypuścić, żeby autor nasz był tak niegrzeczny, tak nieostrożny. Więc to illuzja do Czech, do jego biédnéj ojczyzny.

(Dokończenie nastąpi.)

KSIĄŻKA PAMIĄTEK

znaleziona przez Gabryellę,
i czytana przy kominkowym ogniu.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Gdy się obudziłem, dzień pełném światłem bił we wszystkie okna. Romualdowi trochę lepiéj było niż mnie w moim fotelu, chrapał też jak najprozaiczniéj, a ja po cichu zszedłem na dół, podwójne dla nas zamówić śniadanie. — Zszedłem, wróciłem, ubrałem się, Małgosi dwa razy kawa wykipiała, nim się mój gość ocknął nakoniec.

— Dzień dobry, rzekłem do niego z uśmiéchem, melduję Panu że dziewiąta godzina tuż pode drzwiami czeka. Romuald ziéwnął i przeciągnął się kilka razy.

— Dziewiąta! Czy ty kiedy przed dziewiątą wstajesz?

— Siedem razy na tydzień.

— Źle skończysz. — Bezsenność zawsze grozi pomięszaniem zmysłów.

— A sen długi?

— Kto śpi nie grzeszy, ja byłbym niezawodnie jeszcze ze dwie godziny niegrzeszył, gdyby mnie twoje przeklęte szastanie po pokoju niezbudziło... Bogdajby wszystko co złego przez ten czas zrobię, na

twoją głowę spadło, a najpiérwéj gniéw téj niewiasty, przydał widząc wchodzącą ze śniadaniem Małgosię.

— Moja panno — rzekł do niéj, to bardzo niéładnie chłopców tak rano odwiédzać.

— Dałbyś pan sobie pokój z żartami, niéładniéj daleko chłopcom, kiedy późno i z taką breweryą w nocy powracają.

— Romualdzie nie drażnij jéj, bardzo cię proszę, z żywością po francuzku rzekłem, przeczuwając złośliwą na końcu jego języka odpowiedź.

— Ach mój Boże! co téż ten pan Ludwik na panienkę wygaduje, niewstrzymany mą prośbą zawołał Romuald, toć on powiada że musiał tak mocno sztukać bo panienka głucha.

— Pan Ludwik, z przeproszeniem, niebyłby takiego głupstwa ani powiedział ani zrobił, bo najpiérw dobrze wié że ja nie panienka tylko na chléb swój uczciwie pracująca wdowa, a potém i tego byłby się domyślił, choćbym głuchą była, że są inni w domu co bardzo delikatny słuch miéć mogą.— Panna Helusia aż się dzisiaj na ból głowy skarżyła.

— Czy bydź może? łaskawa pani dobrodziejko! przeprosić co prędzéj pannę Helusię, w imieniu Romualda trzpiota, pustaka, łotra.

— Widzisz Małgosiu, jak się zna dobrze, podchwyciłem z prędkością, odpuść że mu za ten piérwszy krok do poprawy.

— A nadewszystko uniewinnij przed panną Helusią, powiédz że to były grzmoty, że jéj ból głowy to dzisiejsze ciężkie powietrze, to burza która się na obiad gotuje, powiédz że burza.— Siarczysta burza— krzyczał jeszcze za odchodzącą.

— Ciekawym bardzo, czybyś téż żartował sobie z bólu głowy Helusi, gdybyś ją samą widział.

— Alboż co, taka piękna? czy taka straszna?

— Sąd w téj mierze zupełnie od sposobu patrzenia na nią zawisł— dodałbym tylko że jedni ludzie umieją, drudzy nieumieją patrzyć, lub raczéj widziéć choć patrzą.

— To ma się znaczyć brzydka, stara, koślawa!— uniżony sługa.

— Brzydka, jak do gustu, ale nie stara i nie koślawa, bo wysmu-

kła, niby młoda roślinka, a chociaż wieku jéj zgadnąć jeszcze nie mogłem...

— Panie Ludwiku! Panie Ludwiku, to na coś złego zakrawa.

— Zdaje mi się jednak że musi mieć więcéj nad lat dwanaście.

— Fe, wstydź się, chciałeś mnie zmistyfikować! któż słyszał o takim dzieciaku tak długo rozprawiać.

— Bo ten dzieciak, jeżeli tylko dzieciakiem jest jeszcze, coś nadzwyczajnego w przyszłości obiecuje. — Nie wiele słyszałem o niéj. — Widziałem przez krótką chwilę zaledwie, a powiadam ci, że gdybym nawet nie zobaczył więcéj, toby mi na całe życie jednak pamięć doznanego wrażenia została.

— Musi to bydź jakieś cudo które się nieuchowa, powiédz mi tylko skąd się wzięło na téj przepadłéj ulicy?

— Helusia jest córką mego gospodarza.

— A twój gospodarz, jest w smoka zaczarowanym księciem.

— Nie w smoka lecz w najpoczciwszego pod słońcem ślusarza.

— Bądź mi zdrów z taką Heroiną, jeżeli ją ojciec po twarzy głaszcze, musi jak murzynka wyglądać... Zobaczysz, oskarżę ja cię przed moją siostrą. Marya Regina, ta Entuzyastka piękności i dobrego smaku, porządnie cię złaje za takie... nieporządne upodobanie.

— Marya Regina właśnie dla tego że jest Entuzyastką wszelkiéj piękności, uzna ją zapewnie bez względu na podpis i ramy.

— Ha, jakoś bardzo pewnym swego się zdajesz.

— A szczególniéj tych słów które o Maryi Reginie wyrzekłem.

— Ty się w niéj trochę kochasz Ludwiku.

Na tak niespodziane twierdzenie czułem że mi krew z twarzy ubiegła. — Przez chwilę milczałem bo mnie samemu trzeba było po zupełną prawdę aż do głębi serca sięgnąć, — serce biło mocno a ja nakoniec śmiało Romualdowi w oczy patrząc...

— Trochę się w niéj niekocham, powoli odrzekłem, ja kocham ją, bardzo kocham tak jak się kocha gdy ma jedno uczucie na szczęście lub niedolę całego życia wystarczyć.

Zapewne Romuald sądził że nawiasem żart przez niego rzucony, żartem wzajemnym odbiję lub najwięcéj że się zarumienię jak przy

piérwszym bileciku pochwycony Gymnazyasta.—Omylił się— szczerość mego wyznania, drżące wzruszeniem usta, uroczystość głosu, i twarz zmieniona, jego samego w dziwne wprowadziły położenie. Stanął przedemną, niby się namyślał, niby coś chciał powiedziéć i czegoś niepowiedziéć, a nakoniec w milczeniu tylko ujął obiedwie moje ręce i w swoich szczerze, przyjacielsko ścisnął.— Nie! ja dziś nawet wyrazić nieumiem na jak wielką szczęścia nadzieję, wytłomaczyłem sobie to ściśnięcie.

— Romualdzie, więc twoja siostra mnie kocha! wyjąknęłem stłumionym od wzruszenia głosem.

— Czy Marya Regina cię kocha... Ależ doprawdy mój Ludwiku, niespodziéwałem się wcale że przyjdzie do tak stanowczego zapytania.— Ja nic nie wiem, moja niewczesna pustota wyciągnęła ci z szlachetnego serca przyznanie tajemnicy, która mi teraz kłopotem ciąży; na pośrednika między wami wcale się nieprzydam; twoim powiernikiem bydź mi nie wypada— a doradzcą siostry, choćbym chciał bydź nie mogę.— Maryi Reginie, powiedziéć: „kochaj no tego, lub owego,“— toby chyba trzeba nieznać téj kobiéty, albo także powiedziéć gwiaździe jakiéj— „proszę cię świéć tam a nie tutaj.“— Zgadnąć téż czy kocha, póki sama uczucia jakiego nieprzyzna, to zgadnąć— w którą stronę świata król orzeł poleci.— Mnie nic do tego, bo w tém nic nie mogę.— Wierz mi Ludwiku, zapomnijmy obadwa słów przed chwilą wymówionych— kochajmy się trochę więcéj, nie wspominając nigdy odkąd i dla czego...

Zimno w sercu mi się zrobiło gdym tych wyrazów słuchał— jakgdybym z wysokości w głębszy dół się osunął—tak przyszłość moją, tak szczęście moje ujrzałem znów nad sobą, wysoko! daleko— Romuald zaś, do własnéj rady się stosując, jak gdyby nigdy nic nie zaszło, wesołą na obojętne przedmioty zwrócił rozmowę i wytrwał w niéj do końca pókiśmy się nie rozeszli. Od téj chwili nawet, jeśli mogłem się domyśléć, że na prawdę o wszystkiém nie zapomniał, to z tego chyba, iż nigdy słówkiem najlżejszém o tę strónę mego serca nie trącił... a jednakże stało się— on z niéj piérwszy ten dzwięk wydobył, którym potém tak długo... może na zawsze brzmiéć miała.

Kiedym dnia tego Maryę Reginę zobaczył, zmięszałem się jak gdyby do jéj brata wymówione słowa, już wiadome jéj bydź mogły, i jak gdyby ona odpowiédź swoją na nie zawiesiła tylko— a właśnie sama siedziała, w małym gabineciku przyległym bawialnemu pokojowi— Przed nią stał z ogromném in-foljo, hebanowy, jakieś egipskie bóstwo wyobrażający pulpit.— Przy niéj stół papiérami i rycinami okryty— za nią była głęboka jedynego okna framuga, w zwoje dwóch Flos passionis'ów jak w girlandę zieloną objęta, a zachodzącego słońca promieniami tak przez wszystkie szyby świécąca, że na tém tle jaskrawéj purpury głowa i popiersie Maryi Reginy niby ciemna sylwetka odkrawały się rysunkowo, dobitnie, w ostre ale czyste linje. —

— No, i cóż panie Ludwiku, spostrzegłszy mię rzekła, przychodzisz pan zdawać rachunek z powierzonéj mu opieki— Romuald już się do wszystkiego przyznał, teraz na pana kolej... Ot z twarzy zaraz widać żeś winowajca: i patrzyła się na mnie, a ja prawdziwie jak winowajca pomięszany i nieśmiały stałem.— Jednak to dziwnie, pięknie i śmiésznie bydź musi kiedy mężczyzna, ów silny, ów dumny, ów królujący – przed kobiétą — młodą— spokojną tak lękliwie się upokorzy— tak zdziecinnieje, tak zadrży.

— Czyż mię brat pani oskarżył?— z niepewności drżącym zapytałem głosem.

Rozśmiała się Marya Regina.

— A nieinaczéj,— wiem najpiérw, że w cukierni okropnie pan dokazywałeś, że ledwie do pojedynku nieprzyszło, że potém całą noc przesiedziałeś w fotelu i cały ranek przerozmawiałeś o córce ślusarza— proszę mi teraz resztę dopowiedzieć.

Ach! ta reszta to było moje wszystko, ona sama żądała jéj prawie, a jednak byłbym się prędzéj w Wiśle utopił niż przed nią taką spokojną, taką pełną powagi choć jedną wyjąknął syllabę.

— Zdaje mi się, odpowiedziałem na pozór równie jak ona spokojny, że nie dodać lecz odjąć będzie trzeba z tego wszystkiego co tu pani Romuald naprawił o mnie.

— Ja téż właściwie nie o panu chcę wiedzieć, tylko o téj nowéj jego znajomości...

— O Helusi? to prawie dziecko jeszcze...

— Jakiż śmiészny i pokorny wykrzyknik! Panie Ludwiku— gdybym tu mój wachlarz miała, tobym cię nim za taką niezręczność po palcach trąciła.

Wachlarz na drugim leżał stoliku, przyniosłem go i wraz z rękoma w milczeniu do kary podałem. Marya Regina nie uderzyła mię nim, tylko moje ręce lekko z przed siebie usunęła i zapytała znowu:

— Pomimo tego, że Helusia dziecko, czy mi wolno będzie dowiedzićé się czem tak szczególną pana zwróciła uwagę.

— Tem, że umié pamiętać...

— Więc pan tak bardzo wysoko talent mnemoniczny cenisz?

— Bardzo wysoko, jeśli nim serce czyje obdarzone.

— A zatém Helusia ma pamięć w sercu.

— Tak jest pani— przed rokiem u jéj rodziców mięszkała i umarła młoda kobiéta, którą ta dziéwczynka pokochała bardzo— od tego czasu wszystkich jéj pamiątek strzeże, w nocy niekiedy z jéj imieniem na ustach się budzi, a parę dni temu sam byłem świadkiem jak ojciec zaczętą przerwał powieść, żeby wchodzącéj córki żalu nierozdrażnić— i gdybyś pani widziała to dziécię starsze nad wiek swój potęgą uczucia, tę dobrą twarz tak już posępnym wyrazem surową, pewny jestem że sama byś umiała artystyczną jéj piękność ocenić.

— Ocenić może, ale nie cenić. Wierz mi panie Ludwiku taki długi żal piérwszéj straty, to jest najzgubniejsze ducha ludzkiego usposobienie; i wsparłszy łokieć na kolanie jak było jéj zwyczajem gdy coś z większym namysłem mówiła, ściśniętą dłonią przytrzymała lekko spuszczoną głowę, a po chwili znowu rzekła: — najzgubniejszém usposobieniem. — Pomyśl pan tylko ile to ciosów, boleści, zgryzot w serce nasze pada, gdybyśmy wszystkie niestrawione, niezużyte ciągnęli za sobą, ha! tobyśmy na zrąb mogiły dowlekli zaledwie jakiś zmurszały nie życia, lecz śmierci pamiętnik, jakąś w kółko powtarzającą się łez i nieszczęść litanję.— Oh! nie— patrz lepiéj na ziemię matkę naszą, co to jéj trupów, ziarn, nieczystości rzucają, a

ona wszystko przyswoi, przyjmie, wyda kwiatem, kruszcem, kamieniem. — Tak i cierpienia do życia brać trzeba, dla użyźnienia swéj natury, dla rozwinięcia władz nowych, dla podsycenia organizmu.— Alboż to ja nie ciérpiałam także?— A ręka jéj sięgnęła po jakąś dużą, w czarny axamit oprawną księgę, któréj karty pod jednym palcem z nadzwyczajną szybkością przesunęła.— Co tu uczuć starganych, co imion wyrzuconych z pamięci?.. Choć każde uczucie, choć imie każde było chwilą méj przeszłości, cząstką ducha mego. — Ta książka sama, to upominek zmarłéj matki.—Pan jeszcze masz swoją matkę? Pan mężczyzna— niepojmujesz i niepojąłbyś nigdy jakiem zepsuciem wszelkiéj harmonii, jest dla kobiéty przedwczesna jéj strata. Wedle prawa Bożego postęp w bycie naszym rozwija się w nieprzerwane ogniwa ciągłych a kolejnych uczuć. Matka wypełnia całe dzieciństwo, młodość piérwszą, jest owym cymentem który nas w związku ze światem ogółu utrzymuje, póki w nas samych siły do kochania potrzebne nie wyrobią się, póki znowu nas doskonalsza wyłączność szczęścia, łączność uczucia, nie pochwyci, na wznioślejsze nie posunie stanowisko, zupełniéj z Bogiem i ludzkością nie zjednoczy.— Matka uczy nas kochać— matka nas kocha, póki my nieukochamy samodzielnym wyborem, póki nas nieukochają na zawsze.— Ah bez matki przy rozpoczęciu trudnego zawodu, przy piérwszych krokach niepewnéj podróży— oh! wierz mi panie, smutno jest i pusto!— Na całe życie zostanie jakiś rozstęp, jakaś próżnia, jakiś znak zapytania, w każdém serca uderzeniu. Taka wczesna sierota nawet kochać niepotrafi, do zbytku zawsze wyda, lub zapragnie miłości, owa najpotrzebniejsza, nie w rozsądku, lecz w instynkcie, miara uczucia dla niéj straconą zupełnie. — Ona musi wszystko zgadywać, jak gdyby dzieło jakie ze środka czytać zaczęła.— Osamotniona przy kolebce;— Niepojmująca się przy ślubnym ołtarzu;— Zaniepokojona obok własnego dziécięcia;— Zwątpiała może i zimno szydercza aż po deskę grobową;—To jest kobiéta co matki niémiała!— A ja panie Ludwiku, ja moją w dziewiątym już utraciłam roku!... I zamilkła na chwilę.

— Jeżeli kiedy, rzekła znowu, nad moim charakterem zastanawiać się pan będziesz— niezapominaj że on się kształcił i rozwijał wtedy, gdy czułam że mnie nikt nie kochał!

— Lecz brat i ojciec zostali się pani.

Marya Regina z niedowierzaniem głową poruszyła.

— A ja panu mówię że czułam brak miłości któréjbym celem nie przydatkiem była.— Brak tego upewnienia każdo-chwilowego, tego oparcia, tego jakby gruntu, na dnie serca, brak tego słowa „najwięcéj" wiesz pan jednak co z tych piérwszych moich łez wycisnęłam? O zaiste, nie smutek, nie rozrzewnienie, któreby mi wszystkie władze duszy rozprzęgło,— w tych łzach, że tak powiem, ustaliłam moją istotę.— W nich przywykłam do spokojnego pustelnictwa wśród obojętnych ludzi. — Odtąd już zawsze każdą późniejszą boleść wrażeniem tylko nie zdarzeniem przyjmowałam do życia— Bo wrażenie, skutek praw konieczności, od naszéj woli niezawisło wcale.—Jak ręka oparzona, jak skaléczone ciało, musi przeciérpiéć czas jakiś, tak Patologicznie i my cierpimy wrażeniem. — Lecz zdarzenie, to co innego— To jest wrażenie, wolą naszą przyjęte, uznane, stawione jako przyczyna długiemu następstw szeregowi. Dla mnie, w każdém nieszczęściu, zdarzeniem była to część jedyniektórą na korzyść przyswoiłam sobie.— Wszelki smutek, zawód, nawet ów najokropniejszy z zawodów kiedy człowiek sam siebie omyli, ja koleją przechodziłam wszystkie i po wszystkich została mi, nie pamięć, lecz pamiątka, myśl nowa, nowy pogląd na rzeczy, choćby nowe upodobanie tylko— Widzisz pan to pismo?— I roztworzyła książkę.— Wszak piękne— równe, lecz nieczytelne, zupełnie do niego piszący był podobnym. Mając lat dziewiętnaście kochałam tego człowieka. Olśnił mnie gruntownością specyalnych nauk, zajęciem wyższego w towarzystwie miejsca przez swoje zdolności jedynie.— Chlubna byłam, gdy od szacowanego wszędzie szacunku odbiérałam dowody.— On mi był wzorem prawdziwie męzkiéj, życiem i wypadkami kierującéj siły. Kochałam go... jakbym sama kochaną bydź pragnęła, gdybym się mogła mężczyzną urodzić, a teraz?... Uśmiéchnęła się tak obojętnie, tak wesoło, że mi od chwili ciężarem niepojętym stłumiony

w piersiach oddech swobodnym i szczęśliwym uleciał ku niéj westchnieniem.

— Teraz, mogłem powtórzyć z niecierpliwością...

— Teraz choć mnie oczy trochę pobolały od wczytywania się w ten niewyraźny charakter, dodała z ironicznym przyciskiem, zostało mi jednak wielkie poważniejszych nauk zamiłowanie— sądziłam że muszę wszechstronnie z jego przeznaczeniem się zmięszać.— Jeśli nieco w Matematyce i Chemii postąpiłam, jemu to winnam. Prawda że trochę dziwna po piérwszym romansie niezabudka— lecz mi się nieraz w życiu przydała. Mój drugi zaś romans... Ot zaraz go panu pokażę... I znowu zaczęła starannie karty swéj książki przewracać.

Myślałem że na to drugie zwierzenie jakieś szatańskie pazury za serce mnie chwytają.— Więc Marya Regina była zalotną— płochą, gorszą od wszystkich złych kobiét na świecie, bo stworzoną z większémi zasobami dobra, szczęścia i piękności— a zazdrość? O w téj chwili miałem jéj objawienie przelotne lecz zupełne.— To brzydkie zielsko które piérwszém zwątpieniem się sieje, a brakiem zrównoważenia w uczuciach rozplemia, ta pokrzywa nikczemna we wszystkie razem nerwy mnie sparzyła.— Z początku myślałem, że Marya Regina kochać nie umié, jéj więc piérwsze przyznanie choć bolesném zdziwieniem uderzyło, jakąś nadzieją zabłysło mi także; ale potém— zmieniać miłość niby zwrotkę piosenki, ssać jednę po drugiéj dla małéj miodu kropli, miéć żądło i krew zimną owadu, a bydź przytém kobietą piękną, młodą, namiętną.. O to nie siła, Maryo Regino!— to nie mądrość— to nie wyższość żadna, to jest potworność tylko! Dla czegoż przedemną właśnie z takim cynizmem rozdarłaś ułudną szatę, która twoje ubóstwo kryła—brudne ubóstwo.—Jam cię o szczerość nie prosił— ja kłamstwa ani prawdy nie żądałem, jaką mi się wydawałaś, taką cię chciałem miéć w sercu na zawsze.— O twoje własne serce kto się pytał?.. I złorzeczyłem, kląłem i czułem że się w całéj mojéj istocie moralnéj, coś niszczy i coś psuje.— Nie, z takiémi wrażeniami igrać nie wolno. Jeśli Marya Regina choć w części się ich domyślała, to źle czyniła że mi słówkiem, że mi spojrzeniem chociaż ukojenia nieprzyniosła, lecz ona jako święty, cudowny

obraz na wysokościach swéj chwały, pogodna i wspaniała, zwolna odwijała kartkę za kartką i nawet jéj marmurowa ręka nie zadrżała. Aż nakoniec coś ze środka wyjęła, ostrożnie na czystéj białéj ćwiartce włożyła, i mnie do obejrzenia podała.

Niedotknąłem się tego, a w żyłach krew mi roztopioną lawą popłynęła, bo na téj ćwiartce papiéru, czerniła się sylwetka maleńka.— Spojrzałem tylko na nią... spojrzałem i nagle— ja niewiém co Marya Regina pomyśléć o mnie mogła -- wydarłem jéj papiér z sylwetką, a dłoń silnie pochwyciwszy do ust przycisnąłem w milczeniu.

Na sylwetce było popiérsie kobiéty.

Marya Regina przypatrywała mi się z wyrazem zadziwionego przestrachu, powoli jednak gdym jéj rękę puścił, gdy mi rumieńcem wstydu i pomięszania blada przed chwilą twarz zaszła, na jéj twarzy także przestrach i zadziwienie w jakiś pełen słodyczy rozpłynęły się uśmiéch.

— Wszakże piękna? spytała dźwięcznym, lekko stłumionym głosem.

O piękna, powtórzyłem jak w modlitwie i dopiéro na trzymaną sylwetkę spojrzałem.

Sylwetka także na ten wykrzyknik zasługiwała bardzo— profil czysty, regularny jakby z Etruskiego wzoru przerobiony.

— Więc to był pani drugi romans? rzekłem odważnie niby kłamliwy śmiałek po uniknioném niebespieczeństwie?

— Mój drugi romans, przywtórzyła, lecz już bez uśmiéchu, ja tak zawsze nazywam każde zjednostkownione uczucie.

— I nigdy pani, żadnego, miłością nie nazwiesz?

— O miłość! a głos jéj zadrżał, a oko zaszkliło, miłość to Bóg w nas-— Bogiem wypełnisz wszystko, nie wypełnisz niczem Boga— Rzuć w to słowo szczęście, piękność, doskonałość, wieczność całą, po-za najwięcéj, jeszcze więcéj się zostanie. Zmieść jeżeli możesz słońce w oku Pliszki, wléj morze do glinianego garnka, powiédz gdzie się Bóg kończy— a potém kochaj miłością jednego człowieka.

— Czemuż nie? odrzekłem z ufnością. Wszystkie promienie światła zbiegają się w źrenicę najdrobniejszéj ptaszyny, więc ma i pliszka

całe słońce w oku.— Glinianym garnkiem nie wypróżnię morza, lecz morzem garnek napełnię.— A choć Bóg nigdzie się nie kończy, ja wiem że się zaczyna wszędzie gdzie myśl szlachetna rozbłyska, gdzie kochające uderza serce.

W dziewiętnastym roku byłam tegoż samego zdania panie Ludwiku.— Ach ostrożnie bo mi sylwetkę zepsujesz.— Moja poczciwa Anna!— Czy zgadniesz pan dla czego w taki sposób chciałam jéj wizerunek zachować? Oto dla tego żeby się przekonać, czy od téj złocisto-włoséj, śnieżysto-białéj, anielsko-świętéj istoty, cień jak od innych ludzi, a nie jasność padnie, bo też to była prawdziwie wybrana, trochę miękka, trochę słaba, ale prześliczna organizacya. Jak na mnie wszyscy dwoma imionami wołają, tak i ja na nią wołać chciałam. Pamiętam jeszcze cośmy to kalendarzy naprzewracały, co narad odbyły przed owym chrztem przyjaźni. Aż nareszcie przezwałam ją Clara. To imie tylko było podobne do mojéj Anny, takiéj przeczystéj kryształowéj jak woda strumienia,— jak dziécięcia łezka.— Dwa lata naszego życia pomięszały nam się i zespoliły każdą myślą, każdym wypadkiem i uczuciem. Dziś jeszcze próżnobym u nich szukała na osobistą własność jakiegobądź wspomnienia. Nauki, prace, uciechy i smutki, ona ze wszystkiego wzięła, do wszystkiego przydała część swoją.— A potém?... Nasza przyjaźń się nie rozerwała, nasza przyjaźń się tylko... rozeszła jak mówią ludzie— rozeszła i my rozeszły każda w swoją stronę.— Ja dzisiaj nie wiém gdzie Anna Clara, ona o Maryę Reginę nie pyta.— Przyznam się nawet, że na mnie zaległa ostatniego jéj listu odpowiedź— lecz donosiła mi w nim o swojém zamężciu,— mężatce taka piśmienna o kilkadziesiąt mil rozmowa, najczęściéj staje się tylko uciążliwą jakichś sumiennych względów obowiązkowością— mnie także nie była już potrzebną.— Niecierpię w życiu mojém tych pół uczuć, pół-przywyknień— co nadwątleje, to sama do reszty niszczę i precz z serca, precz z przeznaczenia mojego wyrzucam.— Nie odpisałam więc Annie Clarze i przestałyśmy się kochać, bez sprzeczki, bez gniéwu, zwyczajną koleją, zapomnieniem.—Po niéj została mi się jakaś rzewność, jakieś upodobanie we wszystkiém co do niéj podobne, w kwiatkach,

w śpiéwie ptasząt, w białym kolorze, w drobnostkach kobiécych zatrudnień, zdaje mi się że umiém lepiéj bratu i ojcu dogodzić, lecz nic więcéj — i widzi pan, jak nam z tém dobrze. Gdyby każdy stosunek, człowiek chciał podług prawideł retorycznych w całość epopei układać, gdyby wszystko do ostatecznych przyprowadzał wynikłości, doprawdy, źleby na tém wyszedł. Ja naprzykład musiałabym już zwątpić o miłości, o przyjaźni, o własném sercu mojem.

— A jednak pani mu wierzy?...

— Wierzę jeszcze... nadzieją, bo mi nigdy nadziei wspomnienia nie kłócą. Poradź pan swéj znajoméj żeby tak samo z życiem się obliczyła, — na cóż takim lichwiarskim procentem boleści kilka chwil szczęścia pożyczonych od losu opłacać?

— Gdybym miał radzić...

— Dość już na dziś téj liryki przerwała mi składając czarną książkę, gdybyś pan miał radzić, to wszystko na bok odłożywszy, poradziłbyś mi najpiérw co mam z tym Romualdem robić, żeby go dłużéj przy skrzypcach zatrzymać?

— Gdzie on się dzisiaj obraca?

— Z dnia wczorajszego możesz pan miarkować, że nie łatwo się odpowiada na podobne zapytanie.— On sam godziną piérwéj nie wié nigdy jaki zamiar i w którą poniesie go stronę...

— Ale wié kiedy na jego wolność i bespieczeństwo spiski knowają, odezwał się niespodzianie we drzwiach gabinetu stojąc.

Marya Regina złajała go okrutnie— za takie łajanie byłbym oddał wtedy całego świata pochlebstwa!

— Wyobraźże pan sobie, mówiła do mnie ze ślicznem rozdąsaniem— przez te dwa dni mój brat miał takie ważne sprawy do załatwienia, żem go nawet grającym nie słyszała jeszcze.

— No, to jutro będziesz tego miała aż do zbytku, dzisiaj zmęczony jestem, już późno.

Prawdę mówił Romuald, już późno było, grzechotki warczały z ulicy— dzień się skończył. Nie dla mnie skończył— takim dniem kilka lat się żyje— to dzień— zdarzenie, według słów Maryi Reginy—

a słowa jéj pamiętałem wszystkie i śniło mi się, że w nich gwiazda dobréj nadziei roztlała, że w nich było więcéj żalu i tęsknoty za wyłącznem miłości uczuciem, niż gry fantazyi, niż talentu obrazowania— śniło mi się. . . śniło mi się. . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ABAILLARD. HELOIZA. S. BERNARD.

Obok korzyści światła i doświadczenia, które nam historya przynosi, jest ona także najwyższym sądem czynów ludzkich; kronika czyny te opowiada, wytacza niejako sprawę przed jéj trybunał; historya ogłasza wyrok, imiona jednych na potępienie skazuje, innych pamiątkę uwielbia.

Głos opinii publicznéj niezawsze sprawiedliwym bywa; opiniia mało się troszczy o zrozumienie gruntu rzeczy, opiniia sądzi zwykle z błyskotki pozorów; rośnie częstokroć odgłos korzystny lub nie korzystny na powierzchownem oparty widzeniu, chwali co niewarto pochwały, a to właśnie przygania co prawdziwą wartość człowieka stanowi.

Któż niesłyszał o przygodach Abaillarda i Heloizy jako o dwóch ofiarach bezinteresownéj miłości, *ofiarach dumy i wyobrażeń wieku*. Poezya rzuciła kwiat pamięci na grób dwojga kochanków; Filozofja w Abaillardzie oddaje cześć jednemu z wyznawców swoich, Filozofja się nie myli, imie jego mieć będzie zawsze kartę w jéj historyi. Ale też sama historya innym go nam zupełnie maluje jako człowieka uczucia, i cała wielkość poniesionéj ofiary zostaje na stronie Heloizy. Abeillard jako kochanek dalekim był od ideału poety, dalekim od ideału jaki z niego powszechna wieść utworzyła.

Heloiza, Abaillard i zawzięty jego przeciwnik S. Bernard, składają jeden obraz, jednę gruppę malowniczą w historyi średnich wieków; wypadki zespoliły niejako ich pamięć, wspomnienie jednéj z tych osób, pomimowolnie wywołuje wspomnienia dwóch drugich.

Zapuszczając oko w przeszłość daleką, wśród pomroki dwunastego wieku, widzimy ulatujące trzy wątłe postaci, jakoby trzy widma grobowe; w rysach ich twarzy widać głębokie ślady walk wewnętrznych; jednę poorała namiętność zuchwałego scholastyki rozprawiacza, tuż za nim śpieszy duch surowego mnicha, w oku jego ogień religijnego zapału; obok kobiéta, któréj miłość znalazła współczucie historyi, któréj łza gorąca odżyła w oku każdego pokolenia.

Abaillard urodzony ze szlachetnéj familii 1079 roku w Palais obok Nantes, zrzekł się praw starszeństwa na korzyść młodszego brata ażeby się tem swobodniéj poświęcić naukom. — Natura połączyła w nim urodę z wysokiemi zdolnościami duszy, wychowanie dało mu polor światowy; pisał wiersze miłosne, śpiéwał je, uganiał się za pięknościami, jak to było we zwyczaju ówczesnéj szlachty.— Do tych powierzchownych przymiotów łączył niezwyczajną na ów wiek naukę, mało kto tak posiadał język Grecki i Hebrajski.

Urodzenie podług wyobrażeń czasu powoływało go do ćwiczeń wojennych, ale wolał walczyć słowem— któż na tém polu mógł mu podołać?— Abaillard obznajomiony z dziełami starożytnych, celował czystością ich wymowy i jasném wysłowieniem. Łacina ówczesnych scholastyków trąciła barbarzyństwem wieku a ich retoryka napuszeniem i zawiłością; przystępność wykładu Abaillarda porywała

słuchaczy, tysiące uczniów garnęło się do niego, obalał argumenta najbieglejszych teologów, poklaskiwała mu szlachta na dworze Ludwika grubego, ucieszona że jeden z jéj stanu pokonał erudytów we własnym ich żywiole.

Piérwszy raz rozbiór filozoficzny tak zuchwale targnął się na przyjęte zasady; Abaillard wystąpił w szranki z natarczywością błędnego rycerza; w filozofii krytykował za równo nominalizm i realizm, dwa systemata scholastyczne odpowiadające dzisiejszemu materyalizmowi i idealizmowi, w religii utrzymywał, że grzech nieleży w popełnionym czynie, ale w złym lub w dobrym zamiarze, w przekonaniu sumienia człowieka, w sposobie ich pojmowania.— Niemożna przeto grzeszyć niewiadomością; ci nawet którzy ukrzyżowali Chrystusa, niezgrzeszyli, jeżeli postępkowi temu towarzyszyła niewiadomość, że on był Zbawicielem.— Wychodząc z téj zasady utrzymywał daléj, że na człowieku nie może ciążyć grzech pierworodny, a tém samém odkupienie niemogło mieć miejsca,—stary testament groził gniewem i zemstą Bożą, chcąc za pomocą dwóch tych środków utrzymać ludzi w karbach moralności.— Bóg zsyłając syna na odkupienie narodów, chciał zastąpić bojaźń miłością.— Nowy testament panuje miłością.

To wysokie pojęcie miłości, opiéranie na niéj społecznéj budowy, było niewątpliwie wielkiem na wiek ów; powstał ogólny zapał dla nauk Abaillarda, rozprawy nad pojmowanieniem zasad religii upowszechniły się we wszystkich stanach, uczeń jego Arnaldo de Breścia przeniósł tę iskrę na drugą Alp stronę.

Żaden mówca średnich wieków niedoszedł do takiéj wziętości jaką sobie Abaillard zjednał, urok téj sławy połączony z polorem światowym i osobistą jego udatnością, zidealizowały Abaillarda w oczach kobiét, lecz to zarazem przyczyniło się do jego upadku. Abaillard z całą lekkością uganiał się za miłościami, dawał broń przeciwnikom a sam tracił powagę i szacunek.

Kanonik Fulbert powierzył mu prowadzenie synowicy Heloizy. Heloiza młoda, piękna, posiadała już sławę uczonéj; stosunki z Abaillardem ukończyły się miłością, lecz jaką była miłość jego?— „Ful-

bert, mówi Abaillard, oddał mi ją pod władzę; po szkolnych godzinach miałem się trudnić jéj nauką, dał mi przytém wolność surowego karania Heloizy, na przypadek gdyby kiedykolwiek niebyła pilną; tym sposobem otworzył drogę moim żądzom, ułatwił środki, bo gdyby mi się zalotność nie powiodła mogłem skończyć groźbą i biciem."

Inne było uczucie Heloizy, wjednym ze swoich listów mówi. — „Wié o tém Pan Bóg że w tobie ciebie tylko szukałam, Ciebie, nie twojéj chwały i znaczenia: ty, twoje szczęście, twoja rozkosz były jedynym celem mojego życia, jeżeli imię małżonki jest więcéj święte, imie twojéj kochanki daleko słodszém mi się zdawało. Sądziłam że im więcéj poniżę siebie, tém więcéj wzrosnę w twojém sercu; gdyby cesarz chciał mnie ozdobić imieniem swojéj żony i wtenczas nawet miléjby mi było nosić tytuł twojéj kochanki." — W inném miejscu tłomaczy się dla czego niechciała wejść z nim w związki małżeńskie. „Mogłaż jedna kobiéta przywłaszczyć sobie tego, którego Bóg stworzył dla wszystkich? Ty Abaillardzie oddany rozmyślaniom filozoficznym i religijnym, mógłżebyś znosić krzyk dzieci, zakręt mamek i służących?"

Odpowiedzi Abaillarda na jéj listy były zimne, pełne rozumowań i pedanteryi, jakby szkolna jaka nauka. Adresował je tak: Abaillard brat w Chrystusie do Heloizy siostry w Chrystusie, — lub: do zaszlubionéj Chrystusa, do niewolnicy Chrystusa."— W jéj adresach tchnie cała gwałtowność uczucia!— „Do swojego pana, nie, do swego ojca, do swego męża, nie! do swojego brata, jego sługa, jego żona, nie, jego siostra, jego córka, Heloiza do Abaillarda."— Dzisiaj wyrażenia te wyglądają nieco dziwacznie, ale listy Heloizy nie były pisane dla świata; wtrącona w mury klasztorne z rozpaczliwém w sercu uczuciem, powierza troski swoje z całém wylaniem miłości, i zaufaniem tęsknéj kochanki, zresztą wiek ów, we wszystkiém trącił chropowatą przesadą.

W inném miejscu Heloiza pisze do niego:— „Wié o tém Bóg że w każdém położeniu życia mojego więcéj się boję obrazić ciebie jak Boga, więcéj pragnę podobać się tobie, jak Bogu, nie miłość Boga, ale twoja wola skłoniła mnie do przyjęcia sukni zakonnéj."

Fulbert pomścił się srogo na Abaillardzie, który tracił ciągle na swoim wpływie; dni jego szczęścia przechodziły, burza zbiérała się do koła; Heloiza w chwili wykonania ślubów zakonnych przy ołtarzu powtórzyła te wiersze Cornelii Lucana:— „O największy z ludzi, o mój mężu! godny takiego szlubu... Dla czegoż los wzgardliwy miał władzę nad tak szlachetną głową?— Moja to zbrodnia, idąc za ciebie przygotowałam twój upadek—odpokutuję za to przynajmniéj, przyjm to dobrowolne poświęcenie."

Zasady, nauki Abaillarda sprzeczne z kościołem znalazły zawziętego przeciwnika w S. Bernardzie.— S. Bernard urodzony także ze szlachetnéj familii w Burgundyi 1091 roku, odebrał klasztorne wychowanie w Citeaux, lecz zniechęcony zbytkownem mnichów życiem, przeniósł się ztamtąd do Champanii i założył klasztor w Clairvaux.— Jako prosty zakonnik wpływał nieraz na losy Europy, poruszał krucyatę, królowie udawali się do niego po radę, w czasie sporów o wybór papieża w imieniu kościoła Francyi przechylił się na stronę Innocentego II. i pomimo oporu Włoch poprowadził go sam do Rzymu.— Miasta Włoskie przyjmowały ich na klęczkach, tłumy zabiegały drogę idącemu, wydzierano sobie nitki z jego habitu.

Lecz jakimże był ten człowiek, co sobie potrafił tak przeważny wpływ uzyskać?— Włosy jego wpół bląd, wpół siwe, broda na wpół czerwona na wpół biała, chudy, zaledwo ślad życia tlił na policzkach wyschniętych i powleczonych cerą przezroczystą, więcéj podobny do ducha jak do człowieka, nakształt widma tajemniczego błądził po smętnych ustroniach, unikał ludzi; podług niego dęby i kamienie daleko większą objawiały mądrość jak książki. — Pobożne rozmyślanie wyosobniło go zupełnie od świata, obok uśpionych zmysłów ciała zdawało się że żyje tylko bibliją i Ewangieliczném rozmyślaniem. — Podług opowiadań jego biografa, nieraz całe dnie chodził smutnie nad brzegami jeziora, i wieczorem pytał gdzie jezioro? w roztargnieniu pił oliwę zamiast wody, brał zgęsłą krew, zamiast masła;— nie mógł znosić pokarmu i każdy prawie oddawał. Osłabiony na siłach, zaledwo mógł ustać, lecz w chwili na-

tchnienia, twarz nabiérała ognia, pierś mocy; kazania jego przerażeniem napełniały słuchaczy, matki kryły synów, żony mężów, jakoby na ten głos wszechwładny świat cały miał się zamknąć w mury klasztorne.

Taki to przeciwnik, jakoby mściciel niebios, pokonał nareszcie Abaillarda.— Niezwalczył go wymową, bo któż w owych czasach mógł się z nim mierzyć? ale go zwalczył wpływem swoim, którego nabył przez surową moralność.

Abaillard w roku 1119 został nareszcie Benedyktynem w Saint Denis. Skutkiem nastawań Świętego Bernarda powołano go na Sobor w Soissons, tam omało nieukamienowany od ludu, wyrzekł się swoich zasad i spalił książki które napisał.— Opuszczony od dworu, zubożały, ciągle prześladowany, schronił się na miejsce nieludne do ubogiéj chruścianéj lepianki; uczniowie zaczęli się tam tłumnie zgromadzać, przeniesiono go do Bretanii, ponieważ nieznał miejscowego języka; tam starał się nauczać księży, lecz omało od nich nieotruty w hostyi, z rozpaczy opuszcza Bretanią i wyzywa na dysputę teologiczną przeciwnika swego S. Bernarda.— Dysputa ta miała się odbydź na soborze w Sens, w przytomności króla, hrabiego Champanii i Nevers.— S. Bernard niewielką miał ochotę mierzyć się z nim wymową, czuł bowiem niższość swoję, Abaillard wyprowadził go sam z kłopotu, zatrwożony pogróżkami ludu nieśmiał się bronić, odwołał do Innocentego II. Papież ów przychylny S. Bernardowi, potępił Abaillarda, który niemając nigdzie przytułku, zagrożony więzieniem skrył się nareszcie w klasztorze Cluny, gdzie przełożony ręczył za niego; i tam umarł po dwóletnim pobycie. — Grób Abaillarda i Heloizy stoi nieje dotąd na jednym z cmentarzy Paryskich.

N. W.

CHARAKTER PODAŃ RZYMSKICH.

Krytyczne badania uczonych mężów, o których gdzieindziéj wspominałem, ozionęły niewiarą i zwątpieniem początkowe dzieje Rzymu, okazując że one nie są historycznemi: dla tego, o ile przedmiot nasz obecny wymaga, nad temiż, w celu okazania jednostronności ich poglądu, pokrótce się zastanowię.

Ludzkość na drodze życia zbliża się stopniowo do rzeczywistego pojęcia prawdy bezwzględnéj, zawsze jednakiéj i niezmiennéj, która co raz się inną badającéj ludzkości przedstawia. Szereg ztąd utworzony pojęć, jako płód rozwijającego się rozumu, musi być także rozumnym; a każde z nich, samo w sobie wzięte, jest prawdą względną, czasową, to jest czasem i miejscem zawarowaną. Z tego stanowiska winniśmy oceniać fakta, pojawy, a następnie i historyą ludów. Dzieje— fakta każdéj epoki— są w rozumnéj harmonii z jéj ludzkością. Dziejopisarstwo—historya—wiążąc z sobą fakta oddzielne, w jedne żywą całość, także jest odpowiednia momentowi rozwoju swojéj ludzkości. Przeto na dziejach i dziejopisarstwie spoczywa piętno legalności. Jednakże nietylko pojmowanie ducha faktów i historyi w każdym czasie jest inne, ale także i działacze— aktorowie— na widowni tych dziejów i historyi występnjący, w każdym momencie rozwoju są różni.

Historya naprzód przebywa w podaniach, jest ustną, następnie staje się dziejopisarstwem. Podanie, jako żywe słowo, przechodząc

z pokolenia do pokolenia, traci dawną istotę i nową okrywa się barwą: ztąd natura podań niestała i zmienna. Tego rodzaju dzieje w księgi zapisane zamiérają i jak roślina zasuszona, w takiéj pozostają formie, jaką miały gdy ujął je dziejopis. Dla tego noszą na sobie piętno epoki w któréj on żył; a zupełnie nie téj, w któréj się począł fakt przez te podania opiéwany.

Historya tak teoretycznego, praktycznego jak i rzeczywistego, jednią poprzednich będącego, rozwoju ludzkości, jako legalna, zatém od stopnia uspołecznienia— cywilizacyi— tejże zależna, musi być: wsobistą, dlasobistą, twierdzącą i przeczącą, a w końcu osobistą: czyli mówiąc po prostu jest teokratyczną-wschodnią; gminną Grecyi, Rzymu i miast średniowiecznych; monarchiczną i w końcu historyą Ludu. Oba te zdania mają się do siebie tylko jak prawidło do przykładu. Z tego co powiedziałem poprzednio wypływa: iż każdy z momentów— ostoi,— rozwoju historyi, ma własnych *działaczy*; własne dzieje— fakta; i własne dziejopisarstwo: zatém z właściwego tylko stanowiska może być ocenionym, i pogląd inny jednostronny. Historya Rzymska, odnośnie do historyi powszechnéj uważana, jest jéj ostoją dlasobiście-twierdzącą, gminną; jednakże źródło jéj leży w krainach wsobistości w dlasobistość się przeléwającéj. Historya rzymska ma właściwych działaczy i swoje osobne dzieje, do których przystępujemy.

Prawdy powyższe z natury ludzkiéj płynące, zatém rozumne, bierzemy za skalę przy ocenianiu piérwiastkowéj historyi rzymskiéj.

Podania przedstawiające przybycie Trojan do Lacium, i założenie nieśmiertelnego Grodu są,— jak to okazał Niebuhr, płodem ludów Italii— nie Włoch;— a bynajmniéj nie greckich.

Pomimo to że Troja, Eneasz, Ewander, Lawinus, Ilia, Sylwia, Amulius, łatwowierny Numitor, sam Romulus i Remus jako aktorowie dziejowi, w naszém pojęciu, nie istnieli; że ani Trojanie, ani Ulisses, do Italii nie przybyli, że Romulus nie był wnukiem a témbardziéj synem Eneasza, a co większa Rzymu nie założył; jednakże te dzieje wsobiste są dla historyi wielkiéj wagi, i myli się Niebuhr niewłaściwie ich znaczenie oceniając. Fakta tego momentu historyi, winny

się oceniać z ich własnego, wsobistego, stanowiska Ludzkość teokratyczna, z rodą rozłogową, materyalną, zlana; wyprowadza na widownię dziejów, zupełnie różnych od naszych, historycznych działaczy. Siły natury przedmiotowéj jako ciała niebieskie, słupy ogniste, gwiazdy prowadzące, potwory i zwierzęta na scenę występują. Sama ludzkość wsobista przedstawia się jako massa, pewnym pociągiem ku sobie nacechowana. Taka dziejów wsobistość, malując nam ludzkość współczesną, rzuca jeszcze światło na powinowactwo ludów: plemiona bowiem jednego pochodzenia, muszą mieć jedno rozwikłanie; i przedstawiają dzieje podobne, i silnie z sobą związane: jednakże wszystkie plemiona jednego szczepu, jako ludzkie, przedstawiają w swoich dziejach pewną jednorodność. Bliższy przeto, lub dalszy faktów wsobistych związek, główną dla badacza wskazówką. Przytém wiele jest faktów późniejszych przez złą wiarę podrobionych i podszytych,—jak powieść o greckiém pochodzeniu Rzymu— te więc od prawdziwych, cel i okoliczności rozważając, oddzielić wypada. Równie jest rzeczą wielkiéj wagi że chronologija wsobista od naszéj różna, boska. Praca taka dla nas, członków innéj ludzkości, jest trudna i dokonanie jéj zupełne, niemożliwe. Dzieje bowiem wsobiste tylko dla współczesnéj ludzkości były mówiące, dla nas zrozumienie téj zagadki, i rozwiązanie onéj, kluczem naszych pojęć historycznych, uporne. Przecież niejest to rola dla historyi bezpowrotnie zatracona: trzeba tylko umiéć wcielić się w czasy dawno zapadłe. Podanie o Enecaszu, Ulissesie, pokazuje w Lacium piérwiastek pelazgicki i dwóch ludów pokrewieństwo; pochodzenie Romula pokądzielne, pokazuje iż Rzym nigdy osadą Alby nie był.

Cała mitologiczna powieść jest wymównym obrazem ludzkości wsobistéj. Ubóstwione zwierzęta jak ów wilk, lis i orzeł przy założeniu stolicy trzydziesto-grodowego związku; owa wilczyca, dzięcioł i ptastwo owady niszczące, owa Ilia, Sylwia, bóstwu wód Anio poślubiona; ów Tyber założycieli Rzymu pod świętą figą składający, nareszcie Mars, Egeria, Fortuna, Wulkan, Lares w związki cieleśne, bezpośrednie, z ludźmi wstępujący,—czyż nie przedstawiają ludzkości wsobistéj? czyż nie przeprowadzają stopniowo na ostoję dlaso-

bistości ludowéj? Rzeczywiście, kiedy ludzkość poczuje że jest od materyi wyższą i sama siebie, formę swą, ubóstwi— jako dlasobista: siły przyrodzenia, rody przedmiotowéj, z placu ustępują, a raczéj stają się dlasobistemi, że tego wyrażenia użyję, gdyż takie piętno na nie ludzkość przenosi, i formą ludzką okrywa. Jowisz, Mars, Juno, Egeria, Wulkan, mają swoich poddanych, i wydział w naturze materyalnéj. I sama ludzkość działająca wsobistnia się w człowieka heroicznéj natury, w bohatéra, i wstępuje jako Romulus, Numa. . . . Przejście przeto od wsobistości, do dlasobistości, jest owym wiekiem bohatérów, który tak dokładnie wyraz nasz— boh— bóg— maluje. Ten moment historyczny jest ubóstwieniem człowieka formalném, téj zewnętrzności ludzkiéj; jak następny treści, a ostatni istoty: ztąd owa cudowność tu rozlana, ztąd owa mityczność tu panująca. Dzieje bohaterskiéj epoki są już do zrozumienia, dla nas oddalonych i odrodnych prawnuków, łatwiejsze: tu działaczami, powiększéj części, ludzie; a nie samo rozłogowe przyrodzenie: ale działacze ci, i pojawy, są zawsze na skalę boską skreślone.

Miał o tém znaczeniu dziejów wsobistych, i przechodnio dlasobistych, niejakieś pojęcie Niebuhr, tak bardzo w teraźniejszości zanurzony, ale o ile niedokładne, przekonywamy się z tego ustępu:

„U wszystkich ludów, epoka zupełnie *poetyczna*, ta która z historyą jest zupełnie w stosunku irracionalnym, jest przedzielona od epoki rzeczywiście historycznéj mieszaniną, któréj natura może być oznaczona mianem *historyi mitycznéj*.... Taki zachodzi związek między historyą mityczną i mitologią, że piérwsza spoczywa i koniecznie wznosi się na podstawie historycznéj, i że powiększéj części bierze swoje przedmioty z historyi, podanéj przez dowolnie powzięte opowiadania, podczas kiedy mitologia bierze z religii (wiary), z najobszerniejszych fikcyj, i niéma nawet zamiaru uchodzić za historyą *zwyczajnego biegu rzeczy* tego świata, chociaż, przebywając na ziemi, nie może miéć innéj widowni.” *) Zastanawiając się bliżéj nad temi

---

*) T. 1 str. 228 i 229.

dwoma miejscami zostajemy uderzeni ich potwornością. — Co ma znaczyć *epoka zupełnie poetyczna*, spoczywająca *na fikcyach* i *nié mająca pretensyi uchodzić za historyą*; *a wszakże zrodzona na ziemi, z tej widowni wzięta i mająca przedmiot swój w religii*? *Poezya* i *fikcya*, jak nędzne pojęcie poezyi!.. Że poezya nie jest historyą, na to zgoda:— ale co jest zrodzone na ziemi, i między ludźmi; i co ma przedmiot swój w religii (wierze), jak może nie mieć nawet pretensyi uchodzić za historyą. Rzeczywiście w mitologii są dzieje pierwiastkowéj ludzkości, która zaledwie wyszła z łona nicestwa. Czyż więc mitologia jest poezią? czyż nie jest raczéj *wsobistemi* dziejami *wsobistéj* ludzkości!... Ludzkość nie będąc osobą, co mówię, z przyrodą zlana i też ubóstwiająca, widziała, musiała widzieć, na obszarach własnych dziejów tylko działaczy wsobistych, naturę materyalną ubóstwioną, i jedyną osobą wtenczas będącą. Mitologija zatém jest historyą wsobistéj ludzkości. Poecya jako wieszczenie, mętne przeczucie z serca płynące, przeszłych, obecnych i następujących dziejów kolei, tak się ma do mitologii jak i do dziejów, w naszém znaczeniu: jednakże w owym czasie w którym cała pełnia mającego płynąć życia, leżała jeszcze w możebności, nieporodzona, poezya nie mogła przybrać tak różnéj barwy od historyi jaką dziś ma: mimo to stosunek historyi wsobistéj, do poezyi wsobistéj taki sam, jak dziejów rzeczywistych do poezyi rzeczywistéj. Czyż zatém dzieje wsobiste są z dziejami osobistemi w irracionalnym stosunku? Źródło i ujście muszą być z sobą w rozumnéj harmonii, są względem siebie współmierne, bo wiążą się wstęgą strumienia.

Również oba momenta rozwoju dziejów są połączone historycznym rozumem. Niezawodnie, historya mityczna spoczywa razem z mityczną wiarą, jako nieporodzone bliźnięta, ale jak jedna tak i druga nie jest urojeniem chorobliwego umu: a owszem piérwszym utworem dziecinnego człowieczeństwa i do twórcy swego zupełnie podobnym.

Co mamy rozumieć przez biég zwyczajny rzeczy tego świata? czy nasze dzieje są tylko tym zwyczajnym biegiem? — niezawodnie dla nas, dla dzieci obecnéj epoki, i on nie będzie takim dla epoki przy-

szłéj i nie jest dla przeszłéj: jako dla piérwszéj za niski, a dla drugiéj za wysoki. Ranek majowy całą przyrodę w sercu młodzieńca ożywiający, i mówiący do jego duszy, jest dla niego naturalnym biegiem rzeczy tego świata. Dziecinna ludzkość jak świat pojmowała, tak go nam przekazała, i pojęcia jéj o świecie, odnośnie do nas mylne, były dla niéj prawdą: azatém owym znudnym naturalnym biegiem rzeczy tego świata.

Następnie powiada Niebuhr, że epoka właściwych dziejów jest przedzielona od epoki mitycznej mieszaniną, która może być nazwana historyą mitologiczną. Mieszanina ta słusznie tém mianem, odnośnie do naszego pojęcia historyi ochrzczona, przedstawia nie już naturę, ubóstwioną, uosobioną ale ludzkość wcieloną w osobistego, heroicznego bohatéra Romulusa, Numę, Serwiusza:... dla tego słuszniéj ją dziejami bohatérskiemi zwać zamierzamy. Tak to pojęcie rzeczywiste, zamdliło niewłaściwe obecno-historyczne stanowisko, z którego Niebuhr patrzał na pierwotne dzieje Rzymian.

(Dalszy ciąg nastąpi.) R. Swierzbieński.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOWOŚCI

W Opolu i na górach Tarnowskich (*Tarnowitz*) wyszedł przekład J. Lompy p. t. *Mały górnik.*

Dzwonu, pisma zbiorowego, które się poczęło w roku zeszłym, wyszedł zaczątek Tomu 4.